NUMER 20. DNIA 18-go MAJA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

WARCHOŁ

AURELEGO URBAŃSKIEGO.

Było to jeszcze na kilka lat przed zgonem Aurelego. Widząc go w „Kole literackiem“, gdzie codziennie spędzał wieczory, przechadzającego się szybkim krokiem między filarami, zapytałem o przyczynę niepokoju. Zaczął, od narzekania na stan zdrowia:

— Bóle nerwowe rozsadzają mi mózgownicę, a zwapnienie tętnicy grozi rychłym końcem. Poczciwy dr. Selzer, mój lekarz nadworny...

Przerwałem mu dysertację patologiczną, miał bowiem skłonność zatapiania żądła analizy na same dno objawów swej choroby.

— Zresztą — dodał — nie brak i innych przyczyn do żalu i skarg. Robak apatji przegryza trzewia mieszkańców Głodomorji...

Pragnąc sprowadzić rozmowę z mgieł ogólników na poziom faktów, zaprotestowałem przeciw ostatniemu twierdzeniu, a jako przykład przytoczyłem wrażenie wywołane świeżo podówczas ogłoszoną książką Koźmiana o powstaniu styczniowem.

— Czyż onegdajszy wieczór w „Kole“ — zagadnąłem — z tak poważnym protestem uczestników powstania przeciw aspiracjom trójlojalizmu nie odbije się głośnem echem w piersiach nieprzejednanych wrogów polityki ciemięzców?

— W istocie — odpowiedział — było coś imponującego w tej odezwie osiwiałych obrońców ideji niepodległości. Pod jej wpływem napisałem kilka gorętszych strof mego „Warchoła.“ Prażę w nich niemiłosiernie nasze opłakane stosunki społeczne.

— Dochodzą mię z innej strony słuchy o „Warchole“. Niepoprawny „tromtatrada“! Czy twoja satyra patrjotyczna, ostrzem skierowana na Stańczyków, nie zaszkodziłaby ci jako kierownikowi biura w Wydziale krajowym?

— Nie myślę „Warchoła“ ogłaszać za życia drukiem. A po mojej niechybnie rychłej śmierci nie omieszkasz bodaj w wyjątkach pomieścić go w jakiem piśmie. Tymczasem przeczytam ci zeń początek.

I wyjął z bocznej kieszeni surduta książeczkę oprawioną w płótno ciemno-zielonego koloru z kaligraficznie wysztychowanym na pierwszej karcie tytułem: „Warchoł — poemat desperata.“ Poczem zaczął czytać inwokację.

Z owej książeczki, własnoręcznie zapisanej przez Aurelego, udzielonej mi łaskawie do użytku literackiego przez ojca poety, dr. Wojciecha Urbańskiego, zasłużonego dyrektora bibljoteki uniwersyteckiej, podaję tu fragmenty „Warchoła“. Ostrą tę satyrę na stosunki galicyjskie, wzorowaną pod względem formy na „Beniowskim“ i „Dantyszku“, pisał nasz rozczochrany romantyk do ostatniego

niemal tchu — śmierć dopiero przerwała wątek utworu, obejmującego dziewięć zupełnie wykończonych pieśni. Oto jedna z tych pieśni:

Praszczur i prawnuk.

LXXXVII.

Szatki też same — lecz skroń strasznie blada,
Jakby nią wieków przeszumiała burza;
Z zapadłych orbit smętny wzrok mu pada,
Ale tak czujny, jak Anioła — Stróża,
A tak głęboki, jak orła — nie gada,
Co z mogił chwastów płazi łeb wynurza.
A gdy z szarawych otrząsał się mgiełek —
Zajęczał. Trwożnie pajac drgnie, karzełek.

LXXXVIII.

Fantazji jednak nie tracąc zawoła:
„Sam tu, kmoterku! Dziadu, bierz go z boku.
Podziwiaj finty. Patrz, co może szkoła!“
Lecz dziad się żachnie; skra mu zatli w oku,
I zmarszczki grozą zbiegną się u czoła.
Wzgardy odruchem osadzi go w skoku
I głucho ryknie: „Kmotr?... Bóg patrzy na nas;
Niech i rozsądzi. Apage, satanas!“

LXXXIX.

„Ja Waści kmotrem? Wszakci, rab ja Boży,
Na braci moich nie plwałem nagrobki;
A jeśli'm chłostał — to butę wielmoży,
A jeśli'm smagał — to franty i sobki.
Dzwonki ja'm naszał — nie naszał obróży,
I u Fortuny nie legałem stopki.
Toć mi nie kmotrzyć u waścinych praktyk,
Acz waść filozof, i fechmistrz, i taktyk.

XC.

„Waść mi, z poczciwej kitajki, szmat lichy
Zdarł. Waść zeń kubrak wykroił bufonka —
I w szambelańskie waść go upstrzył szychy
I krwi rubiny u każdego dzwonka
Waść pozawieszał i brylanty pychy —
I ćmisz, wmawiając, że to blaski słonka?
I waść mi kmotrem, waść, co dźwiękiem czynell
Płaczące głuszysz, carski poliszynel?“

XCI.

Urwał, i w piersi swej zaszponił palce,
Aż serca mu się obnażyła rana;
A mój pogromca (nie śniąc już o walce)
Malał... wciąż malał, wybladły jak ściana —
I jak zdeptane mienią się padalce,
Żółkł... i zieleniał. Ażci jak mydlana
Bańka sromotnie prysnął — i czarnemi
Dymu plamami wionął wprost ku ziemi.

XCII.

Szczezł, klątwę jakąś, czy też czarta imię
Mrucząc. I wierne błazna satelity,
Wiedźmy, w plugawym rozwiały się dymie,
Jak kurzu obłok nad gościńcem wzbity.
A dziad, ramiona uniosłszy olbrzymie,
Garście skurczone zanurzył w błękity
I gwiazd zerwawszy jaskry, trupio-blady,
Z wstrętem za niemi miotnął dwie plejady.

XCIII.

I ja'm ci dojrzał, jak dopadłszy globu,
Straszydła w ludzkiej znów odżyły skórze.
I krwawe ślepie wlepiwszy w nas obu,
Pięściami grożąc, zaskomliły: „Nuże —
Żyć dajcie żywym! Kysz, trupy, do grobu!
W niebo wy uszli? Gnilce! Ku nam, tchórze!
Skoro na krewkiej nie zbywa ochocie,
Zewrzem się z sobą, tu, na ziemskiem błocie“.

XCIV.

I szwargot pierwszej — much tłumił bzykanie,
Głupich, gościnnych much, w pająków sieci;
A drugiej skowyt — po kurhannym łanie
Rublem się toczy i tumanem leci:
A zgodnych kmotrzyc wściekłe ujadanie
Poryk przygłusza rozżartej — tej trzeciej.
A tamta czwarta — mżąc, opuszcza uszy,
Bez czci, bez wiary, bez serca, bez duszy.

XCV.

I głos ochrypły słyszę, napuszony,
Jakby uczona zaskrzeczała sroka:
To błazen odżył — i jak czart z ambony
Kazanie głosi z powagą proroka —
I w cztery globu perorując strony,
Mózg swój subtelny zachwala, i cmoka.
O, nędzny móżdżku! Azaż ty nie świadom,
Że sam zdradliwy, wszystkim służysz zdradom?

XCVI.

Stara ta piosnka sprawiała mi bole
Straszne, szyjące aż do szpiku kości.
„Wciąż wołał: „W prawdy ja hodowan szkole,
Porządku zwiastun, apostoł trzeźwości,
Z bosej hałastry jarzma was wyzwolę
I szał ten wydrę, co wam w mózgach gości,
Więcej wam dając, niż kto z waszych dawał:
Boć miasto mrzonek — pewny chleba kawał“.

XCVII.

Stara to nuta — nowe jeno słowa
Zły duch, kusiciel, podłożył piosence.
Hej, podkanclerzy! Nie twojaż to mowa,
Podszeptywana Narodowi w męce?
Niechże go Stwórca od zbawców zachowa,
Co dziś, jak Piłat, umywają ręce
I w zaślepienia lub obłędu chwili
Leki mu niosą — ci, co go zabili!

XCVIII.

Zatkawszy uszy — szukam więc starucha,
Co miłościwie stanął mi w obronie;
Boć mnie coś parło w skrytce mego ducha
Paść mu do kolan i całować dłonie.
— Zniknął — Szept jeno dobiegł mego ucha,
Modlitwy echo, co w przestworach tonie;
I światła prążek ulatał, hen, w górze,
Aż roztopiony rozwiał się w lazurze.

Tu urywam. Następują dalsze peregrynacje „Warchoła.“

Rozminawszy się z widmem wielkookiego Strachu o nastroszonym włosie i bezmyślnie wybałuszonych źrenicach, od którego wiejący mróz na chwilę ścina go lodem otrętwienia — krąży dalej tuż ponad dziedzinami Polski — i w czystem polu pogranicznem widzi koczujące, nędzne ofiary rugów pruskich — z chaty dolatuje go jękliwy szmer dziecka kaleczącego pacierz po niemiecku — przez szybę zaś miejskiego konwiktu spostrzega pacholę w moskiewskiej szyneli przy mdłym blasku lampki nocnej wtłaczającego sobie w mózg „Zwod zakonow“ w języku Murawiewów — na rozstajnych drogach widzi chłopów — unitów, przykrępowanych do szyzmatyckich krzyżów i żebrzących boskiego zmiłowania. Równocześnie przebiega pod nim nocny pociąg pośpieszny, uwożący na południe garść szlachty. Z lekkiem sercem wyzbywszy się ojcowizny, ze szczupłym workiem pędzą do Monaco.

„Warchoł“ jest dalej świadkiem, jak młodzież przyuczona do pogardy dla rozpaczliwych wysiłków ostatniej insurekcji, coraz bardziej brnie w odmętach kosmopolityzmu widzi, sobkowskie zabiegi karjerowiczów politycznych, wydzierających sobie mandaty — — i coraz czarniejsza ogarnia go rozpacz, coraz wścieklejsza miota nim furja.

Aliści w chwili, kiedy z przytłoczonej piersi wydziera mu się bluźnierczy wykrzyk:

„Niemaż więc Boga — i nadziei niema!“

spostrzega ze zdumieniem, jak odwieczne gwiazdy, wprawione nagle w ruch wirowy, szykują się w wyraźne kształty świetlanych zgłosek — i wyczytuje w nich:

„Jam jest Bóg twój, który cię wywiedzie z domu niewoli!“

Pełną odetchnąwszy piersią, miłośnie ku ziemi swojej zaróżowionej świtem wyciąga ramiona — w tem dochodzi go z niej odgłos państwowego chorału pruskiego i spojrzawszy, spostrzega mazura, dławionego za gardło przez Szwaba-kolonistę. — „Warchoła“ unosi wrodzona mu krewkość; uderzeniem pięści odłupawszy odłam swojego meteorytu, ciska nim w dusiciela, z okrzykiem: „Wara!“

Wtem zapiał kur. —

Autor budzi się na ławce w parku miejskim, pod gloriettą.

Strop szary, zachmurzony.
Blado, od wschodu smug się krwawi wąski.
Na topól cyplach, rozespane wrony
Gnuśnemi skrzydły łomocą w gałązki,
A wśród sennego gawronów trzepotu,
Wódz, kruk ochrypły, wzywa czerń do lotu.

Przeklęty kruk!... Szyderczo śmierć mi kracze
I w twarz mi spiekłą urąganiem ciska.
Wstrętne krakanie! Ciche głusząc płacze,
Po nad skoszone, martwe, ciągnie rżyska...
Lecz świt — acz chmurny — płoszy wnet grzebacze
I na odludne spędza żerowiska — — —
Czarne precz ptactwo! W krwawym onym świcie
Bóg — słońce wschodzi. A słońce — to życie.

Na tem urywa się autograf poematu, obejmującego do 100 wykończonych oktaw.

H. B.

WISŁA.

Od szeregu lat istnieje w Berlinie „Wydział do badania stosunków wodnych dorzeczy, szczególniej na powodzie narażonych“. Szeroko zatytułowany wydział rozwinął jednak istotnie szeroką działalność i w ostatnich siedmiu latach opublikował trzy olbrzymie monografje Odry, Łaby a wreszcie, co nas najwięcej interesuje, Wisły-Pregoli i Niemna. (*Memel-Pregel und Weichselstrom*, hrg. v. H. Keller. Berlin 1899/1900. 4 tomy tekstu 8^0, 1 tom tabel cyfr. 4" i Atlas, wielkie folio 46 kart; cena tego olbrzymiego dzieła, stosunkowo bardzo skromna, wynosi 48 M., a ile mi wiadomo, pojedyncze części dzieła wyszły w osobnych odbitkach, karty atlasu są też oddzielnie u nakładcy do nabycia: Dietrich Reimer, Berlin, Anhaltsstr. 12). Olbrzymie to dzieło powstało w przeciągu niespełna trzech lat, a wyjaśnia tę sprężystosć i szybkość produktywnej pracy cały sztab współpracowników, wreszcie pomoc wszystkich władz pruskich, austrjackich i galicyjskich; tylko władze rosyjskie usunęły się zupełnie od tej kulturnej pracy wspólnej, która nie tylko nauce, ale niosła korzyści i praktyce wszelakich robót wodnych w krajach dorzecza owych polskich rzek. Brak pomocy rządowej ze strony rosyjskiej zmusił autorów dzieła do pracy w wielkiej mierze literackiej, w której uwzględniono zwłaszcza prace polskich przyrodników i techników, oddając równocześnie zasłużone uznanie im i polskiej nauce.

Wszystkie ziemie dawnej Polski stanowią jedność fizyczną, najdoskonalej powiązaną systemem sieci wodnych. Odra otrzymuje z prawego brzegu główny swój dopływ Wartę, której znowu główny dopływ Noteć, odpływ prapolskiego Gopła podaje, że tak powiem, rękę Wiśle, która pod Toruniem ku Noteci wybiega. Dział wód jest tak płaski, że praca ludzka z łatwością się z nim uporała. Wisła otrzymuje główne dopływy też z prawego brzegu: San i Bug, a prawe dopływy tych rzek (Wiar, Muchawiec, Narew) wiążą Wisłę z Dniestrem, z Prypecią, więc Dnieprem i Niemnem. Kanały Augustowski i Królewski, wreszcie projektowany kanał przez Sądową Wisznię uzupełnią wskazania przyrody. Podobne związki zachodzą między siecią wodną Dniepru z jednej, a Niemna i Dźwiny z drugiej strony. Kanały: Ogińskiego i Berezyński stwierdzają wyraźnie te relacje. Hydrografja ziem dawnej Polski w granicach historycznych jest najlepszym dowodem, że terytorjum to przedstawia fizyczną całość, że tedy ten, a nie inny obszar, politycznie związany, ma zagwarantowany od przyrody najkorzystniejszy rozwój i pomyślność. Unja Polski z Litwą i Rusią ma daleko szersze i wieczne podstawy, nie tylko te efemeryczne, polityczne względy, które stały się tej unji pobudką.

Klimat rozległych ziem polskich w pojęciu historycznem jest również bardzo jednolity: Najcieplejsze krainy to obszary nad dolną Odrą, najzimniejsze przy ujściu Dźwiny i nad średnim Dnieprem, ale różnica ciepłoty rocznej między Szczecinem z jednej, a Rygą i Kijowem z drugiej strony nie wynosi 2^0, jest przeto daleko mniejszą, niż na daleko mniejszych obszarach Niemiec, Austro-Węgier, Francji, lub Włoch. Polska historyczna jest przeto i pod względem klimatycznym zupełnie jednolitą, jest krainą fizyczną.

Jeśli wejdziemy jednak w szczegóły przebiegu rocznego czynników klimatycznych wystąpią różnice daleko znaczniejsze. Różnice te najmniej wyraźne w lecie, występują w zimie w pełni wyrazistości. Pomijając już ten fakt, że na Pomorzu średnia ciepłota stycznia mało niżej 0^0 opada, a w Kijowie i w Rydze dosięga 5 — 7^0 mrozu, ważniejsze jest bodaj dla fizjognomji zimy w Polsce to zjawisko, że w jej półn.-zachod. częściach trwa szata śnieżna tylko koło 50 dni, a na wschodzie Polski 100 — 120 dni, więc dłużej niż w zapadłych, górnych dolinach Karpat. W każdym jednak razie klimatologiczne różnice na całym obszarze ziem polskich są tak małoznaczne, że możemy mówić o polskiej dziedzinie klimatycznej na obszarze między Odrą z jednej, a Dźwiną i Dnieprem z drugiej strony. Ilustrują tę jedność Polski najwyraźniej średnie wartości najostrzejszych mrozów, wartości w ogóle najbardziej

zmienne. Otóż średnie najostrzejsze mrozy wahają się w Polsce między Szczecinem i Wrocławiem lub Krakowem z jednej, a Mitawą, Wilnem i Kijowem z drugiej strony tylko między 18°, a 24°, poniżej zera podczas gdy już Berlin, lub Wiedeń ma tylko 14 do 15° a Kursk, Moskwa lub Petersburg mają 28° do 31°, a rtęć w wyjątkowo ostrych zimach marznąć zwykła w termometrach.

Pod względem opadów atmosferycznych, a szczególniej ich rozmieszczenia na pojedyncze pory roku, pod względem panujących wiatrów odznacza się Polska wielką jednostajnością; lipiec lub czerwiec jest wszędzie najbardziej deszczowym miesiącem; tylko na bałtyckiem pobrzeżu jest jesień najwilgotniejszą porą roku.

Równoległe linje dolin szerokich, a często bagnistych rozczłonkowały polskie ziemie. Prosta linja Noteci, Wisły między Bydgoszczą a ujściem Bugu, Narwi, Biebrzy i górnego Niemna oddzielają ku północy „garbaty“, a pełen jezior i „okien“ kraj nadbałtycki.

W kraju nadbałtyckim odróżniamy Pomorze między dolną Odrą a dolną Wisłą z Kaszubszczyzną na piaszczystych pustkowiach (pustkowie Tucholskie) po lewym brzegu Wisły. Ziemie prusko-litewskie zajmują pojezierze między dolną Wisłą, a średnim Niemnem; część północna tych ziem to Kurońska Sambja między Pregołą a dolnym Niemnem; część południową po prawym brzegu Wisły aż po jeziora mazurskie (jez. Śniardawy i inne) zdobyła mazurska kolonizacja, tam też znajduje się kraina puszcz wilgotnych między Łomżą a Ostrołęką — kraina Kurpiów. Dorzecze górnego i średniego Niemna to ziemia Litwinów, obrębiona od południa i wschodu ziemiami ruskiemi; na południu wznoszą się mianowicie wyższe płaszczyzny ziemi Nowogrodzkiej — to Ruś Czarna, na wschodzie rozpościerają się podmokłe porzecza Berezyny aż po górny Dniepr i Dźwinę to Ruś Biała.

Po prawym brzegu dolnego Niemna rozpościerają się północne polskie placówki: łotewska Żmudź i Kurlandja, oddzielona od Litwy szeroką bramą rzek Niewiaży i kurlandzkiej Aa, wreszcie Inflanty po obu brzegach dolnej i prawym brzegu średniej Dźwiny.

Na południe od nadbałtyckich pojeziernych płaskowyżów rozpościera się podłużny pas właściwego niżu polskiego. Na pełnym zachodzie znajduje się wielkopolska kolebka Polski, w części środkowej lekko wzniesiona, pełna jezior (Gopło, Pakość), oblana ze wszechstron szerokiemi, a mokremi, więc niedostępnemi dolinami Noteci, Obry i Warty — istna twierdza.

Małe, ale bardzo żyzne porzecze lewej Wisły, przypierające do Wielkopolski, to Kujawy. Ziemie położone na wschód od Wielkopolski i Kujaw rozpościerające się aż poza Wisłę w dorzeczu dolnego Bugu i Narwi, to pierwsza, wielka zdobycz kolonizacyjnego pługa polskiego, Mazowsze. Droga naturalna, wyznaczona przez prostą linję dolin Neru i Bzury (położenie miast: Koło, Łęczyca, Łowicz, Warszawa wskazuje tę drogę) nadała tej kolonizacji tor i kierunek. Na wschód od Mazowsza rozpościera się „działowa“ dzielnica Polski, Podlasie; kraj ten położony głównie na dziale Narwi i Bugu, Niemna i Prypeci pełen puszcz lesistych (Białowieża), ale zarazem kraj pasażowy z licznemi krzyżującemi się drogami, kraj zetknięcja się różnorodnych plemion: Litwinów, Rusinów i Polaków — dawna ziemia Jadźwingów. Cóż dziwnego, że taka „narożnikowa“ ziemia była przez wieki kością niezgody między Litwą, a Polską?

Na wschód od Podlasia rozpościerają się najrozleglejsze w Europie bagna Pińskie w dorzeczu Prypeci, to Polesie.

Część południowa Polski po grzbiety Karpat i morze Czarne to „górna“ Polska, ziemia gór i wyżyn, powiązana siecią naturalnych, wodnych dróg i dolin z wielkopolskiem sercem Polski i Mazowszem, krainą najruchliwszego plemienia polskiego, Mazurów. (Nazwa Mazurów na oznaczenie Polaków wędrowała w górę Wisły, Sanu i Dniestru, jak nazwa Szwabów na oznaczenie Niemców wędrowała w dół Dunaju).

Śląsk, to niżowa zatoka, zamknięta Sudetami, Karpatami i Polską (Częstochowsko-Olkuską) wyżyną ze wszech stron, a połączona Odrą z wielkopolskim rdzeniem państwa stała się jedną z pierwszych części składowych Polski i punktem wyjścia piastowskich podbojów na Podkarpaciu i na Morawie. Mało jest w Europie takich wygodnych bram wśródgórskich, jak brama morawska (płaski dział między Odrą i Morawą) i brama oświęcimska, które nam w pierwszej mierze tłumaczą szybkie rozszerzenie się polskich granic na „nową“ Polskę, Małopolskę nadwiślańską i na Morawę.

Morawę Polska straciła wkrótce, a w świetle fizycznej geografji był to zupełnie naturalny proces historyczny. Ale Małopolska nad górną Wisłą, związana ze Śląskiem bramą Oświęcimską, z Wielkopolską górną Wartą, z Mazowszem Pilicą i Wisłą średnią a w dodatku ubezpieczona świetnie grzbietami Karpat od południa, stała się nową Polski kolebką, nowem jej jądrem. Stąd z tej podkarpackiej nowej Polski wiodły odwieczne drogi ku Czarnemu morzu tak doliną Dniestru, jak też suchym działem na Lwów, Krzemieniec, Żytomierz i Kijów. Dwa te naturalne szlaki rozszczepiają się ku wschodowi na cały wachlarz naturalnych dróg, wskazanych przez doliny Prutu i Seretu w stronę ku Mołdawji, dolinę Bohu ku Dzikim Polom, a Rosi i Teterewu, wiążącym z halicką Rusią Czerwoną i z Wołyniem, a przeto z Polską naddniestrzańską Ukrainę. Wołyń bowiem i Ruś Czerwoną wiązały z Polską nietylko drogi od górnej, Małopolskiej Wisły, także i Mazowsze wciskało się i ożywiało te dziedziny polskim elementem, który dążył ku południowemu wschodowi doliną Wieprzu, Bugu, Styru i Horynia.

Nie podobna na tem miejscu podać mi choćby zarys budowy geologicznej tych polskich dziedzin, a bodaj rys krajobrazu tych krajów, w których są największe łąki górskie, najbliższe środka Europy stepy, największe błota, najgłębsze jary, największe puszcze i pełne jezior pojezierza.

Przedstawiając geograficzną jedność i zwięzłość naturalną krajów dawnej Polski przekroczyłem ramy sprawozdania, nadal trzymać się będę ściślej granic przez dzieło omówiane wytkniętych.

(D. n.)

Prof. Dr. Eugeniusz Romer.

Moje kwiaty

Na miedzach wyciągniętych, jak struny przez pole
Tu i ówdzie gromadnie krzew dziki wyrasta
I kwitnie... Jego gałąź terchata, kolczasta,
Jego kwiaty — to moje najświętsze symbole!...

I za nic mi roskoszne róże lub lilije,
Wonne fjołki, konwalje rzeźbione misternie —
Ja wolę moje skromne kwiatki — moje ciernie,
Z których wieniec w około serca mi się wije...

Może komu są milsze kwiaty ogrodowe,
Polne maki, bławaty, majowych łąk ziela,
Mnie te miłe, któremi droga się wyściela

Spieszącemu do pracy chłopu codzień rano...
Ja te wolę, bo ziemia da mi je na wiano
Ostatnie... Da i jemu do trumny pod głowę!...

Kazimierz Króliński.

Muzeum Narodowe w Krakowie.

W 19 numerze „Tygodnia“ z dnia 11. 5. 1902 uczyniono dyrekcji Muzeum narodowego zarzut, że broń pomieściła w klatce schodowej, a tem samem uniedostępniła ją do bliższych studjów. Zarzut ten byłby słuszny, gdyby nie polegał na nieporozumieniu spowodowanem tą okolicznością, że Muzeum nie jest jeszcze urządzone w całości. To też odezwę do społeczeństwa, aby nie składało w darze Muzeum dawnej broni, uważam za niesłuszną, mającej bowiem muzealną wartość broni nie wystawiono dotąd. Znajdzie ona miejsce w urządzających się dopiero salach sztuki dawniejszych czasów i to zupełnie według życzenia autora artykułu, gdzie obok namiotów, mundurów, sztandarów i bębnów oglądać ją będzie można najdokładniej i najwygodniej. To, co obecnie w klatce schodowej umieszczono, to przeważnie nowożytne wyroby wschodnie, serbskie, bułgarskie, tureckie a nawet japońskie. Nie brak także falsyfikatów. Mało przedmiotów jest tam polskiego pochodzenia, a co polskiego pochodzenia jest, to jest podrzędnej wartości i lepiej będzie reprezentowane w muzealnych salach. Chorągiew z r. 1863, o której autor pisze, nie wiąże się z żadnym faktem historycznym, kto wie nawet, czy w boju była i wogóle nie ma dowodów autentyczności. To też umieszczać jej nie można w salach, gdzie już brak miejsca, kosztem innych przedmiotów.

Garderobę wprowadzono na wzór innych instytucji, a także za przykładem Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie. Opłata 10 halerzy od osoby bez względu na ilość sztuk nie jest wygórowaną, podobnie jak nie wygórowaną jest cena ogólnego katalogu kosztującego 20 halerzy, zatem tyle co afisz teatralny, a przecież znacznie większego objętością.

Co się tyczy służby — tyle jej nie ma jak autor sobie wyobraża. Do niedawna był jeden służący na całe Muzeum!

Służbę w salach podczas zwiedzania, oraz w klatce schodowej pełnią weterani z r. 1863 w zamian za drobne wynagrodzenie na rzecz „Przytuliska“.

Nie trzeba zapominać, że Muzeum nie posiada zapisów, jak inne tego rodzaju instytucje. Dotąd pobierało ono tylko 800 złr. subwencji krajowej, i to na zakupno dzieł sztuki. Głównym i wyłącznym dochodem, obracanym na utrzymanie Muzeum jest opłata ze wstępów: 40 halerzy w dzień powszedni, 20 w dzień świąteczny, a zatem nie wielka, mniejsza niż we Włoszech i tu i owdzie w Niemczech, gdzie przeważnie płaci się markę lub franka. Obecnie mimo tego skromnego dochodu z powodu braku funduszów trzeba będzie wstrzymać urządzenie dalszych sal i skutkiem tego zamknąć na razie połowę zbiorów. Gdyby się dochód ze wstępów jeszcze zmniejszyło, trzebaby Muzeum zamknąć. Wtedy bylibyśmy jedynym z cywilizowanych narodów w Europie, nie posiadającym narodowego Muzeum.

Jeśliby się Muzeum nie zamknęło, wyglądałoby ono nie jak przybytek sztuki, godny arcydzieł, które mieści i którymi nasz naród świadczyć może, że żył i żyje, ale jak źle utrzymywana stajnia, dająca licznie zwiedzającym Kraków i Muzeum narodowe cudzoziemcom obraz wschodniego niechlujstwa i zły przykład polskiej gospodarki.

W Krakowie dnia 11 maja 1902 r.

Dr. Feliks Kopera,
dyrektor Muzeum Narodowego.

12)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Stan ten odpowiadał najwidoczniej średniej klasie ludu, która przechowała się w organizacji rodowej Prusów i Słowian, aż do historycznych czasów.

„Prusacy dzielili się na szlachtę, wolnych i do gleby przywiązanych“ (Otto Hein ist preussische Wirtschaftgeschichte bis zur oddenszeit. Zeitschrift der Ethnologie tom 22 rok 1890 str. 165). — Również (grec.) *mneistros,* należący do czegoś, — (grec.) *nomisma* przez użycie obyczaj coś wprowadzonego, — (niem.) *mete meda* najem (lotew.) *mizda,* — (grec.) *miodos* należą do powyższego węzła obrazowego.

Do „*namas*“ narniotu, należy życiowo i gospodarczo — (grec.) *nomos* pastwisko, dla koni i owiec — „*nomeon*“ pasterz, „*nomadio*“ paść*).

Z „*motać* na *motowidle*“ — (łać.) *mowere,* ruszać, tu i ówdzie *meta mieniać* — (grec.) *mtena mieniać* — (łać.) *mutare* skąd *moneta*, pieniądz, co razem wskazuje na silny handel zamienny w odległej przeszłości, którego pieniądzem była *mata motek, materja.* Widać też dalej, że pojęcie własności i majątku odnosi się do tego samego źródła. (Lit.) *maines mainiti* — (pol.) *mienie* — (ukraiń.) *majno,* — (lot.) *miju, mit, mainiti* — (łać.) *nummius.* N a t o m i a s t pojęcie tego „*mienia*“ łączy się z poczuciem wspólnej własności, co przy organizacji rodowej jest do przewidzenia. (Łać.) *communis* wspólny, — (niem.) *gemein, gemeinde* — (łać.) *numinensis, gmina.*

Pojęcie ruchu i zmiany w wyrazie (łać.) „*muto*“ „*moneo*“ zmieniam, dalej obraz ugniatanie czegoś „*miętoszenia*“, *mięszania*, znajdzie swoje brzmieniowe odbicie w „*miesyt*“ (ukraińskie), ciasto *misić,* — (grec.) *mixtus*, zmięszany (zendyjskie) *maetha* — (łot.) *mesto.* Wiązały by się z powyższymi obrazami trzy rzeczy. Od „*miesyt*“ *i* „*zmuto*“ szłoby „*moscić*“, m i a s t o *most* słowem m i e j s c e pobytu, z m i e n i o n e o d c z a s u d o c z a s u, j a k t o w p o c h o d z i e n a s t e p i e p r z y s t o i. „*Miesyt*“ gnieść, coś ugniatać tłumaczyłoby nazwę „*mięsa*“ „*miętosa*“ *miasa*, jako czegoś „miętoszonego“ pod siodłem, co, j a k w i e m y, j e s t s p o s o b e m „k r u s z e n i a“ s o b i e t e j p o t r a w y u k o c z o w n i k ó w. Również wiecznie zmienna planeta, księżyc „*miesiąc*“ — (ukraińskie) *misiać,* — (niem.) *Monath* — (franc.) *mois* wiąże się z *moneo*, po łacinie *meniam.*

Do niniejszego ustępu należy też próba wyjaśnienia wyrazu stanowiska społecznego, jaki zajmował niegdyś „*kmet*“, *kmieć,* (prus.) *kumetis* — (lit.) *kunemytys*, pracownik. W starej Słowiańszczyźnie „*kmieć*“ oznaczał rdzeń zamożnej wolnej ludności z pewnem odcieniem godności osobistej. Prof. Brückner wywodzi to od nazwy łacińskiej „*comes*“. U „Greków“ istnieje podobnie znaczący wyraz „*kumytis*“. Miklosich w swoim słowniku porównawczym powiada jednak: „Przeciw pokrewieństwu, przemawia, pominąwszy formę i znaczenie w głównych słowiańskich językach, ogólne rozszerzenie łacińskiego słowa. Jeszcze nieprawdopodobniejszem jest wyprowadzenie tego słowa od gr. *kmytys*“. (Etym. Wörterbuch str. 121).

Błąd jeden i drugi, mojem skromnem zdaniem, polega na tem, że obydwaj wybitni lingwiści szukają w z a j e m n e g o pochodzenia wyrazu, tymczasem tak jak (łać.) „*deus*“, bóg i „*dentes*“ zęby są w historycznych czasach niezależne od litewskich wyrazów „*diewos*“ bóg, i „*dentes*“ zęby, tak samo i kmet i komes i kmytys należy cofnąć wstecz, do wspólnego indo-germańskiego źródła nawskróś przedhistorycznego.*)

*) Grecki wyraz „*miodos*“, niemiecki *miete* najem uważany w formie czynszu i opłaty, tłumaczyłby powstanie wyrazu „*mior, meth*“ w późniejszyc . czasach, jako substancji, którą opłacało się rozmaite czynsze i powinności.

*) Nie ujmując powadze naszych historyków - lingwistów, jakim jest n. p. prof. Aleksander Brückner, muszę jednak wyznać, że niezawsze pokrewność słów każe mi widzieć zapożyczenie się w tym względzie jednego narodu od drugiego, Słowian od Gotów. Zwłaszcza dotyczy to nazw wiążących się z pierwocinami gospodarki społecznej. Tam powstanie, a późniejsze równoległe rozwinięcie wyrazów oderwańszych z prastarych materjalnych źródeł jest na porządku dziennym.

Wiedząc o tem, jaką rolę odgrywały w y r a z y u k r a i ń s k i e — *kmituwati* pojąć, *prykmitny* pojętny, — litewski wyraz „*konemytys*“ pracownik, w związku z „*namjotka*“, jako „majątkiem“ w c h u s t a c h obliczanym, z prawdopodobieństwem określimy w „*kmieciu*“ wyższą warstwę stanu średniego — mającego własność albo osobistą, alboteż jako „*(k)miete*“, „*(k)miede*“ „*(k)miodos*“ (kmiotek — polskie) słowem najem, lenno.

„*Machać*“ ruszać czemkolwiek szybko, — *mata*, wałek w r z e c i o n o — *modos* (grec.) buntownik zamieszki czyniący — (grec.) *machaiwa*, narzędzie, którem wymachując śmierć się zadaje, po polsku *miecz*, (ukraiń.) *mecz* stanowią w sobie obraz optyczny zwarty i wyraźny.

Do „*miecza*“, noża długiego, odnieść dalej należy — (star. germ.) *meita* rznąć — (gotyc.) *mejten, mieta, mietha*, znak zakarbowany — (łać.) *meta* granica — (pols.) *Majdan* zamknięte ogrodzeniem pole, — (star. niem.) *Mare, Maas* coś, jako jednostka w mierze odciętego — *mizda, mizda, miedza*.

Zaś od „*maiti*“, rznąć idą przedmioty sposobem rzniętym urobione, jak — (sanskr.) *methi, medhi*, słup, filar — (star. germ.) *meidi* drzewo, belka — (pol.) *majdrować*, (łać.) *modus*, sposób na coś, (oszczędność w pracy, jaką daje nóż metalowy).

Metal (w formie noża i miecza czczony u Słowian) służył w początkach, jak widać z powyższego zestawienia, zapewne do obrabiania szkieletu drewnianego pod namiot. Byłoby niezmiernie interesującem tą drogą dowiedzieć się co mógł być za „metal“, którym się posługiwali przodkowie nasi na stepie, a który później wszedł zamiast tkaniny, jako pośrednik w wymianie handlowej, czyli pieniądz, moneta. Gotycki wyraz „*smitha*“, ruda metalowa — (st. niem.) *smida* metal — (szwedzkie) smida — (niemieckie) *schmieden* kuć, łączy się z (łać.) *metallum* kruszec, *mettali*, góry kruszcowe. Natomiast „smida“ metal. odpowiada brzmieniem słowiańskim wyrazom „*mied*“ *miedź* — (prus.) *medanice*. Do błyszczącej miedzi odnieść należy, (sanskryt.) swiditas — (lit.) swideti świecić, światło, wreszcie w ogóle okiem objęty widnokrąg, świat. Nie należy bowiem zapomnieć, że czerwono-ognista barwa miedzi nader wcześnie połączyła się z barwą płomieni boskiego Agni, ognia i słońca owych najdostojniejszych pierwiastków boskich stepowca. Słońce, jak dzieło niebieskiego kowala rysuje się w wyobraźni starej Łotwy.

Starożytność miedzi i jej związek z wędrówką stepowców aryjskich, pokazała się dopiero dzięki badaniom Pulszkyego i Hampla Józefa. — Zwłaszcza Węgry wykazały w wielu okazach starożytnych poprzednictwo okresu miedzianego. Much wykazał, jak formy miedziane siekierek, do złudzenia nasze ciupagi przypominających, znajdują się wzdłuż przez Czechy, Galicję, Gorycję, bagna Lublany i Rumunji. Podobne wzory znajdują się w Altaju, w okolicach Orenburga, Sieminogorska, Semipalatyńska, Kazania, Jekaterynosławia, Saratowa, Permy, Wladimira“, co dowodnie łączy odkrycie miedzi, jako użytkowego metalu z Uralem i z tamtejszemi źródliskami kopalnemi kruszców. — W Csàklya na Węgrzech znaleziono foremki odlewowe na miedź, na wskróś podobne do tych, któremi hucuł jeszcze do dziś bronzowe siekierki odlewa. — ,,Jeszcze w Rzymie ważono według ,,ciężarków miedzianych'', a pan Hampel od którego powyższe daty biorę, tak kończy: ,,Jak można nie poznać w tem reminiscencji okresu miedzianego''. Rezultat więc osiągnięty, metodą klanu wyrazowego, zgadza się zupełnie z przypuszczeniami uczonych.

U nas często znajdują miedź w Prusach wschodnich mającą zresztą, jak to rozbiór chemiczny wykazał, w składzie zanieczyszczających domieszek, ogromne podobieństwo z okazami węgierskimi. Schrader (Sprachvergleichung und Urgeschichte), uważa również miedź za metal Aryjczyków od Finów zapożyczony. — Dowodem tego, że miedź zdawna uważano jako metal, w którym narody wędrowne o stepowych tradycjach, szczególne mają upodobanie, jest następująca okoliczność.

Dociekanie pochodności wyrazu może być wtedy uwieńczone pomyślnym skutkiem, jeśli forma życia lub użycia, do której ten wyraz się odnosi, jest wyraźnie napływową, obcą, co bez dokładnego uwzględnienia dziejów, mytów, szczątków budownictwa i zdobnictwa ludowego, podań i wierzeń byłoby niezmiernie trudnem. Dzieje się to naprzykład z wyrazem takim jak „chleb“, który według prof. Brücknera pochodzi od gockiego „hleifs“ (cywilizacya i język str. 27). Tymczasem związek pomiędzy szeregiem n a z w pochodzących od prastarego słowa „kali“ drzewo wiąże „kolibę“ chłopa, kalibek (chleb odświętnie pieczony) chleb z typem gospodarski l e ś n o — r o l n i c z e j, jak to zobaczymy w jednym z następnych rozdziałów“ jak najwyraźniej, co ogromnie zaciemnia prawdopodobieństwo przypuszczenia prof. Brücknera.

Znaną jest zdolność do kotlarstwa w miedzi klepanej u cyganów.

Zaś przez całe średnie wieki utrzymuje się opinja że ci od wsi do wsi włóczący się „nomadowie“ to są „kotlarze“ (Kessler). Już w 12 stuleciu wspominają o nich autorowie jako o „kowalach na zimno“, naprawiaczach miedzianych kotłów (Kaltschmiede) a autor poetycznego opracowania pięcioksięgu Mojżesza łączy ich z Izmaelitami“ i w ten sposób wskazuje na ich wschodnie pochodzenie. — We Włoszech zwą się „Dardanerii“, który to wyraz również w stronę wschodu pokazuje. — Tak więc i historyczne tradycje wiążą miedź ze wschodem i z koczowniczem życiem którego ojczyzną stale jest step. Nie ulega więc prawie wątpliwości że znaleziska miedzi w Europie do pierwszego okresu fal wędrówkowych odnosić należy, — któremi morze ludowisk najprzeróżniejszych na stepie prawie aż do bliskich nam historycznych czasów zalewało Europę. — Idąc dalej w zestawieniu wyrazów klanu stepowego, znajdziemy żywe ślady zemsty solidarnej rodowej, która po dziś dzień istnieje na stepie Kirgiskim, a której ślady liczne odnaleść można prawie u każdego ludu europejskiego. — Każda krzywda wyrządzona „*Mstowi*“, rodowi stepowców, musi być oddana w równej mierze jako *za-msto, zemsta* (grec.) *nemesys* żywioł zemsty — *nemesitos* gniew „*numów*“ „*nemesov*“ rodu namiotowego. „*Msto*“ dostojne imię stepowe rodu, na którego cześć odprawiano w Grecji tajemnicze „*misterje*“ eleuzyńskie, pozostawiło do dziś ślad w języku polskim w tytule jego i wasza *mość*, i w zacnem imieniu *Mstow, Mestwinów, Mściwojów*. O „*maass*“ miara — (łacin.) *mensura* — (ros.) *miera* — (lit.) *meraoti*, wiedzie nas słuch i wyobraźnia do innego pnia wyrazów stepowych. Źródłosłow jego jest: „*merg mergatis*“ co oznacza ślad — (zendyjskie) *mareghali* ciągnąc włoczyć się tu i ówdzie, skąd (łacińskie) *margo* mylnie, (niem) *Mark* graniczna odległa prowincja.

Ten ruch, śladem znaczony „błądzenie tu i owdzie nicią wełnianą na wyszywce wykonywane, „*mierzwienie*“ niejako, daje (ros.) *mereża merega* tkaninę wełnianą — (starosłow.) *mereża*, sieć — (czes.) *mriże* rzeszoto — (węgier.) *mreaże* — (ukraiń.) *mereżannyj*, — (pols.) *myrwa* wzorzec wyszywkowy — (litew.) *meża, mergia, marginne* pstre odzienia — (sanskryc.) *margmi omorgnymi* — (franc.) *mirage* obraz złudny — (grec.) *amergo*. Zwierzęciem dającem wełnę na „*mereżki*“ i *myrwy* była „*merluszka*“ owca — (franc) *merlats* — (tureckie i tatarskie) *maria* — (hiszp.) *merinos* — (ukraiń.-huculskie) *marzanna* — (polskie — *baran*). Psychologicznie interesującem może się wydać tłumaczenie podmiotowe dla następującego szeregu brzmieniowo pokrewnych wyrazów. Zamknąwszy powieki „*mrugnąwszy*“ miało się *mrok* — (ukraiń.) *merknut* — *mraka*, mgła tuman. Otwarłszy zaś powieki widziało się (sanskr.) *mera* — błyszcz, który (litew.) *merkin* migał a z którym się wiąże znów bezpośrednio (niem.) *Morgen* poranek.

(C. d. n.) *Kazimierz Mokłowski.*

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

Kiedy jednak Witold opuścił przyjęcie u gubernatora, wymówił się od polowania, jakie chciał mu narzucić marszałek szlachty i nie był na balu u tegoż marszałka, powiedziano, że się naraża. Kiedy odprawił kuchmistrza i zreformował służbę, pomówiono go o skąpstwo, ale gdy zaczęto wyliczać domy, z ktoremi zawiązał stosunki, a które nie należały do śmietanki okolicy, wzruszono ramionami pogardliwie i postanowiono dać mu uczuć, że postępuje niestosownie.

Od postanowienia jednak do czynu było daleko, tem bardziej, że Witold dawnych towarzyszów nie szukał, sam nikogo nie potrzebował, a potrzebującym chętnie dopomagał. Zapewne więc nie dowiedziałby się wcale, co o nim mówiono, gdyby nie baron Roński, który jako

blizki krewny, nie liczył się z odwiedzinami, bywał i odegrał w jego życiu po powrocie do kraju, rolę niefortunnego mentora.

Długi czas przypatrywał się on kolejnym zmianom w Złotnikach, nie wydając o nich zdania, chociaż odczuł bardzo oddalenie kuchmistrza, dopiero gdy Witold podał do dzienników ogłoszenie, iż sprzedaje świeżo zaprowadzoną stajnię, nie mógł wytrzymać. Kucharza zawsze znaleść można. W położeniu Witolda zerwane stosunki łatwo znowu nawiązać, ale stajnia to rzecz ważniejsza, nie można jej zatracić i nabyć napowrót wedle fantazji.

Przeczytawszy więc ogłoszenie, wpadł do Złotnik jak bomba, z dziennikiem w ręku.

— Czy to być może, zapytał?

— Jak widzisz, odparł flegmatycznie Witold.

— I nie żal ci tych koni?

— Owszem, trochę żal, przyznał bez wahania.

— Dla czegoż więc, dla czego? nalegał baron.

Witold milczał.

— Powiedz prawdę, musiałeś ponieść jakieś straty. Możeś się zgrał?

— Strat żadnych nie poniosłem, a w karty jak wiesz nie grywam nigdy.

— Słowo honoru?

— Słowo.

— No, to już nie pojmuję. Wiem, że jesteś oryginałem bez kopji. Nie darmo przebywałeś tyle lat w Anglji.

— Więc czemuż się dziwisz?

— Bo to już przechodzi granice. Wytłumacz mi przynajmniej...

— Tłumaczyć się niemam potrzeby, wyrzekł Witold z odcieniem dumy.

— Czyżby tu była tajemnica?

— Tajemnicy żadnej, ale skoro jesteś taki ciekawy, słuchaj. Uważam iż trzeba być konsekwentnym. Stajnia wyścigowa, to dobre dla tych, co się tej specjalności oddają, albo dla magnatów, którzy mogą wyrzucać pieniądze na fantazje. Dla ludzi w mojem położeniu to zabawa zbyt kosztowna. Szkoda czasu i pieniędzy, można ich użyć stokroć pożyteczniej, niż demoralizując tłumy, za pomocą totalizatora, bez którego znowu wyścigi utrzymać się nie są w stanie...

— Ależ wyścigi istnieją wszędzie, nie my wynaleźliśmy totalizatora.

— Niech sobie będzie co chce w innych krajach, należy naśladować to tylko, co dla nas pożyteczne.

— Zrobiłeś się sensatem. Odkądże to brak ci czasu i pieniędzy.

— Od chwili, gdy wglądam w wiele rzeczy, które dawniej zdawałem na ludzi.

— Było ci z tem wygodniej, przyznaj.

— Wcale nie. Czułem zawsze próżnię i bezużyteczność mego istnienia.

Baron popatrzył na niego przez chwilę i potrząsnął głową z uśmiechem.

— Rozumiem! rozumiem, teorje panny Marji.

Witold nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy nie był wcale zachęcający.

— Ależ mój drogi! zawołał Rośnki z wylaniem, bo łączyły ich jeszcze dziecinne wspomnienia, byłoby najlepiej żebyś się raz ożenił.

Była chwila milczenia.

— To przecież nie odemnie zależy, odparł Witold z prostotą.

— Jakto! nie rozumiem. Oświadcz się, przecież ci nie odmówią.

— Otóż oświadczyłem się i odrzucono mnie.

— Nie może być, zawołał baron zdumiony. Odrzucono cię. Więc cóż ty tam robisz? Wyjedź gdzie. Skończ to raz.

Witold uśmiechnął się smutnie.

— To się nigdy nie skończy, wyrzekł tylko.

A gdy baron zaczął perswadować, radzić, oburzać się, przerwał stanowczo.

— Widzisz. Ona mnie odrzuciła, ale ja ją kocham. Na to niema żadnej rady.

Takie postawienie kwestji sprzeczne z przyjętemi zwyczajami, nie trafiało wcale do przekonania barona. Przedstawiał krewnemu niestosowność bywania w domu, gdzie go spotkała taka obraza, gdzie nie umiano ocenić jego położenia, osoby, majątku, gdzie rachowano niewiedzieć na co i na kogo.

Witold nie zbijał jego twierdzeń, nie dawał żadnych objaśnień, nie zwierzał się z nadziei, oświadczył jednak stanowczo, że się ze Złotnik nie ruszy, postępowania nie zmieni, a jeśli panna Marja odrzuciła go, miała wielką słuszność, bo on jej wart nie był. Fakt ten był dla niego bolesny, ale zwiększył tylko jego uczucia.

Baron wyjechał oburzony. A Witold kazał osiodłać wierzchowca i popędził do Maliniec. Bywał tam teraz na stopie caraz przyjaźniejszej. Pani Teresa polubiła go z całego serca, Jadwinia za nim przepadała, Berwicz był mu wiernym sprzymierzeńcem, przyjmował z otwartemi ramionami i mówił nieraz, tłumiąc westchnienie.

— Ot, gdyby to Marynia chciała.

Ale Marynia nie chciała. Zawsze witała Witolda jednako, rozmawiała z nim chętnie, miała dla niego przyjaźń, tylko nie trzeba jej było wspominać o małżeństwie, bo ta przyjaźń na miłość się nie zmieniała.

X.

Od wyjazdu Ignasia upłynęło pół roku, ale o powrocie jego nikt w domu nie wspominał. Budził on we wszystkich tajemne obawy, z których nie zwierzano się wzajemnie. Pani Teresie zadał on jednę z tych ran, co się nigdy nie zabliźniają. Nawet w przyszłości, nic nie mogło zatrzeć pamięci tego co uczynił, ani uspokoić śmiertelnej trwogi, względem tego co mógł uczynić. Ignaś stanowił dla Maliniec cyfrę niewiadomą, a biada rodzinie w której taka cyfra istnieje.

Na teraz Ignaś przebywał w Genewie, gdzie, jak pisał, słuchał niektórych kursów. Listy jego były rzadkie, oschłe, niemal urzędowe i nie zawierały żadnych szczegółów prócz cen mieszkań hoteli, pensjonatów, podawanych widocznie w celu przekonania matki, że przeznaczona mu suma wystarczyć nie mogła.

Listy, zarówno jak milczenie Ignasia, niepokoiły panią Teresę, tem więcej że temu co pisał, wierzyć nie mogła. A co najgorsze czuła dobrze, iż spokojną nigdy nie będzie, iż żyć musi w ciągłej trwodze o myśli, uczucia, czyny tego syna, na którym budowała niegdyś nadzieje przyszłości.

A jednak, pomimo wszystko kochała go, jakąś rozpaczną miłością, na którą składała się i wielkość doznanego zawodu, cierpienia jakie jej zadawał i przeświadczenie o marności jego charakteru, która budziła w niej litość bezmierną.

Takie uczucie tylko matka zrozumieć może.

Życie stało się bardzo ciężkie w Malińcach. Tem bardziej, że ze Szwajcarji zaczęły rożnemi drogami dochodzić wieści o stowarzyszeniach i kongresach anarchistycznych, do których należało wielu z polskiej młodzieży. W zasadzie pani Teresa godziła się z tym ruchem, interesowała nim gorąco, bo myślała że jest to może jedyna siła, zdolna podkopać kolos moskiewski i zniweczyć hierarchję urzędniczą, która się w nim rozpanoszyła wszechwładnie. Przecież łączenie się z tym ruchem, który nie uznawał ani wiary ani narodowości, byłodla niej rzeczą niezrozumiałą. Drżała o syna, a drżała podwójnie, ażeby nie stał się ofiarą tej sprawy on, co powinien był innej poświęcić życie.

Wszczynała o tem niekiedy rozmowę z Witoldem, ale Witold nie wiedział. czy też mówić nie chciał, tylko spoglądał na nią smutnie, bo widział zmiany, jakie dzień każdy wypisywał na jej obliczu. Niekiedy zdawało się że oczekiwał jakiego rozkazu czy prośby, których ona nie wypowiadała.

Wreszcie powziął postanowienie.

— Wypadło mi jechać na Rivierę, oświadczył któregoś dnia w Malińcach. Czy nie mają panie zlecenia do Ignasia, prawdopodobnie będę i w Genewie.

Oczy pani Teresy zajaśniały, odetchnęła z głębi piersi, jakby z nich spadł ciężar wielki. Ale po chwili przyszła jej myśl inna i zawołała trwożnie.

— Pan coś o nim wie. Pan wie coś złego.

— Nic nie wiem, zawołał szybko, tylko przyznaję, wiedzieć chciałbym... Z listów wyrozumieć go nie podobna. A że wypada mi jechać na południe, a pani się niepokoi.

— Z nim wszystkiego lękać się można, szepnęła pani Teresa.

Mówiła otwarcie, Witold pomału został wtajemniczony we wszystkie sprawy i troski Maliniec.

— Mamo, odezwała się Marynia, która dotąd w milczeniu słuchała rozmowy, podejrzewam pana Witolda, że umyślnie dla nas przedsiębierze tę podróż. Dotąd nie było o niej mowy. Czy nie mam słuszności?

I przy tych słowach zwróciła na niego przyjazne spojrzenie.

— Przykro mi było, że panie mnie wprost nie posłały, odparł z prostotą. Czekałem a nie śmiałem się narzucać.

— Jesteśmy panu wdzięczne całem sercem, zawołała pani Teresa, patrząc na córkę.

— Bardzo wdzięczne, przywtórzyła Marynia.

— A w oczach jej zabłysło wielkie rozrzewnienie i smutek. Jakby pytała samej siebie dla czego nic prócz wdzięczności dać mu nie może.

— Pan go zobaczy, wybada, oceni położenie, doradzi co dalej czynić, bo ja... ja...

Mówiąc to pani Teresa opuściła głowę na złożone ręce, a po chwili zaczęła znowu wzburzona.

— Ja nawet wychować go nie umiałam, dziś nie potrafię z nim mówić, nie rozumiem go, nie wiem co mam robić. A przecież wychować syna zdawało mi się rzeczą tak prostą, nie pomyślałam, że tu może być trudność jaka, że on może nie ukochać tego, co my kochamy, za co ginęli jego przodkowie a co kochać tak łatwo.

Rzeczywiście zrozumieć to było trudno. Witold czuł to najlepiej, nie znajdował przecież słów odpowiednich na uspokojenie tej matki. Podzielał trwogi całej rodziny i dlatego wybrał się w podróż, choć właściwie nie wiedział czego się lękać należy. Zbyt mało znał Ignasia, ale w życiu spotykał nieraz zwyrodniałe natury, w których bezmyślny upór towarzyszył brakowi woli, a najlżejsza nagana budziła chęć przekory. Znał samolubstwo dzieci kochanych nadmiernie, samolubstwo bezwiedne, posunięte nieraz do okrucieństwa, które rozwija się w miarę dowodów miłości i wyrabia istne potwory. Niepokoił go też słusznie charakter młodzieńca, co tak łatwo uległ prądowi chwili, bez względu na tradycje swojego rodu, a potem nie był w stanie zrozumieć doniosłości swojego czynu, krzywdy wyrządzonej najbliższym i nawet nie zdobył się na żal szczery.

Witold namyślał się długo, czy szukać Ignasia w Genewie, czy też spotkać go niby przypadkiem. Wnosząc z listów do matki, które mu pokazywała, domyślał się głębokiego zadraśnienia miłości własnej, zrozumiał, że nie przebaczy nigdy pani Teresie doznanego upokorzenia i szukać będzie instynktownie odwetu.

Kto inny, szukałby go może w szlachetnych czynach, w wykazaniu, że nie zasłużył na sąd tak surowy. Ignaś miał zbyt małą duszę, by pojmować wielkie ideje. Z zajścia rodzinnego pozostał mu ferment buntu i przekory, wróżący na przyszłość najgorsze następstwa.

Rozejrzawszy się w Genewie zrozumiał, jak bardzo pani Teresa łudziła się jeszcze co do syna, gdy go posądzała o udział w anarchistycznych lub socjalistycznych robotach. Stanowczo, sprawy społeczne nie były rzeczą Ignasia. Co innego brać udział w festynach, rautach, owacjach razem z członkami wielkich rodzin, a co innego narażać się i nadstawiać karku. Przeczuwał zaraz, że nie było w nim materjału na bohatera.

Spotkał go w popołudniowych godzinach, na promenadzie Anglikon. Ignaś zadziwił się, ucieszył nawet, ale nie było w jego głosie cieplejszego dźwięku, jaki powinien się był odezwać wobec człowieka, który przynosił mu wspomnienie rodzinnego domu.

Przekonało to Witolda, że dobrze postawił djagnozę charakteru Ignasia. Na szczęście nie miał on do niego niechęci.

Rozmawiali długo o rzeczach potocznych, zanim Witold wtrącił coś nawiasem o Malińcach. Ignaś się zasępił.

— Myślę — rzekł — że tam często nie bywasz. Strasznie nudny dom. Ale prawda, jest Marynia.

I nie czekając odpowiedzi, pytał dalej:

— Cóż ten stary intrygant Berwicz, bożyszcze moich sióstr? A nie wiesz, czy długo mnie tu myślą trzymać na wygnaniu?

— Mówiła mi pani Marska, żeś rad z pobytu w Genewie.

— Rad z pobytu? paradne. Przecież kursów słuchać nie będę. Mam tego dość. Nasłuchałem się za to dość szalonych teorji o nowym układzie społecznym. Spotykałem się z nimi i w Rydze. Gdybym nic nie miał, to kto wie, możeby mi się one i uśmiechnęły. No,ale ty lub ja, przyszły dziedzic malinieckiego klucza!... cóż znowu.

Roześmiał się szczerze.

Witold słuchał uważnie, chcąc zdać sobie sprawę z istoty człowieka, którego w rzeczywistości znał mało. I zapytał sam siebie, czy być może by pokładano w nim nadzieje jakiejkolwiek społecznej pracy.

— Zwiedziłeś najpiękniejszą część Europy — zaczął znowu, próbując czy nie zadźwięczy w nim struna estetyczna, z którą popisywał się nieraz, idąc za panującą modą.

I wskazywał mu w dali jezioro, okrążone panoramą gór ze śnieżnymi szczytami.

— Domyślam się, że to przykuwa do Szwajcarji.

— Nie zgadłeś — odparł Ignaś bez wahania. — Te góry i śniegi i zachwyty jakie wzbudzają, znudziły mnie ostatecznie. Ale cóż, matka daje mi tak mało, tak śmiesznie mało, że wprost muszę szukać tańszego kąta, ja, przyszły dziedzic Maliniec, podróżujący niby dla przyjemności i nauki. Z dwoma tysiącami rubli rocznie daleko nie zajadę. W takich warunkach, djabelnie mi się przejadł pobyt za granicą. Ot marnuję młodość i koniec. Ani można pomyśleć o jakiej rozrywce. Paryż mam zakazany. Zresztą brak pieniędzy jest najlepszym zakazem. A przytem matka, czy też Berwicz, umieją się urządzić by mnie mieć na oku. Wymknąłbym się im przecież, gdyby tylko było za co. Ot ty, jesteś szczęśliwy, bogaty, niezależny. Gdybym ja był na twojem miejscu. Gdzież spędziłeś zimę, w Paryżu, Wiedniu, Warszawie?

— U siebie na wsi.

— No — wyrzekł po chwili — na wsi także bawić się można. Polowania, wyścigi, kawalerskie zebrania, pikniki. Słyszałem o twoich koniach, psach, kuchni. Ja także w takich warunkach siedziałbym w Malińcach. Ale wprzód musiałbym je do góry nogami przewrócić. I przewrócę je kiedyś, jak raz będą moje.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Na skrawku ziemi.* Marjan Gawalewicz. Na tomik ten, bardzo ozdobnie wydany złożyły się trzy nowele, z których dwie ostatnie raczej fragmentarycznymi szkicami nazwać by należało. „Na skrawku ziemi“ i „Jööl“ są to obrazki malowane pianą morską, poświstem wichrów z wybrzeży fryzyjskich i sprawami rybaków Helgolandu i przyległych wysepek. Miłość ponurego Freeda Jessena, któremu groźny żywioł morski, kawał po kawale rodzinnej wysepki wydziera, a turysta-malarz kochania pozbawia, przeprowadzona jest z pewną siłą, co sprawia, że nowelkę tę czyta się inaczej niż inne powieści Gawalewicza, inaczej nawet niż ostatni szkic niniejszego tomiku „Laureatka“ pełny komunałów o wiośnie i o poezji. Ostatecznie, Freed Jessen stracił wszystko, co go wiązać mogło do życia. Dom ojcowski zabrały rozhukane bałwany, w których śmierć znajduje i piękna niegdyś Biena, kochana całą siłą duszy dopóki mu jej nie wydarł malarz, a pobawiwszy się jej miłością nie rzucił. — Ten ostatni wychodzi jako tryumfator — bo z zabawy sezonu na Helgolandzie i „awanturki“ miłosnej powstaje dzieło sztuki, obraz, robiący sensację w salonach paryskich. Wszystkie trzy nowelki drukowane były już we fejletonach pism codziennych. *Fr. Jaw.*

PISMA. *Mercure de France* (maj 1902). W dłuższym „Liście polskim“ omawia p. J. Lorentowicz najpierw twórczość p. Niemojewskiego z powodu sprawy jego „Legend“. Nie wdając się w ocenę surowego sądu p. L., przytaczamy go tu w streszczeniu. P. L. charakteryzuje Niemojewskiego, jako doktrynera, u którego „mózg“ przeważa nad „uczuciem“, i który od początku zbudował sobie rodzaj demokratyczno-politycznego balkoniku, trybunę moralizatorską i z niej energicznie, ale oschle głosi nam nasze obowiązki moralne. Doktryner kłóci się w nim stale z artystą i kiedy artysta wzrusza się na widok nędzy, którą mógłby odtworzyć we wzruszającym obrazie — doktryner widzi w danym wypadku tylko sposobność do wygłoszenia kazania na temat wadliwego ustroju społecznego. Takim, zdaniem p. L., jest Niemojewski i w swoich „Poezjach prozą“, i w swoich nowelach, i w „Listach człowieka szalonego“, a zwłaszcza w swoich kronikach tygodniowych („Głos“), zaledwie w cyklu „Polonia irredenta“ przebijać się mają szczersze akcenty. Wiele szczerych pochwał oddaje natomiast p. L. Niemojewskiemu — dramaturgowi, zwłaszcza silnemu rysunkowi jego dramatycznych postaci, żywej i przejmującej akcji takich utworów, jak „Familja“, a jeszcze bardziej — wystawić się niebawem we Lwowie mającej — „Rokita“.

Podobnie, jak to już uczynił Nowaczyński (kwietniowy zeszyt „Krytyki“), zwraca p. L. uwagę, na dziwny zbieg okoliczności, który sprawił, że gdy równocześnie w Galicji „w imię moralności“ wystąpiono gwałtownie przeciwko „Legendom“, autor ich w Warszawie również w imię moralności pisał ostry swój „list otwarty“ przeciwko St. Przybyszewskiemu. „Policja skonfiskowała „Legendy“, najpiękniejsze i najszczersze dotąd dzieło Niemojewskiego... Możnaby sobie raz na zawsze obrzydzić moralność doktrynerską! ale aureola prześladowania uświęca poetę stokroć więcej, aniżeli toga nieubłaganego sędziego“. — Kończy p. L. swój zajmujący „list polski“ oceną W. Wolskiego „Wzlotów na Parnas“, książki ciekawej, ale wskutek należycie w karbach krytycyzmu nieutrzymanej hypersensytywności autora, perspektywy i trzeźwego sądu w ocenie współczesnych

twórców pozbawionej — oraz surową, ale sprawiedliwą oceną książki p. Mazanowskiego o „Młodej Polsce“, którą zresztą już przedtem z różnych stron sądy podobne wywołała. *A. C.*

SZTUKA. *Tadeusz Rybkowski,* którego jubileuszowa wystawa otwartą jest obecnie na widok publiczny w salonie T. P. S. P. urodził się w roku 1848 w Kielcach. Szkoły ukończył w Warszawie, był jakiś czas w biurze technicznem prezydenta Warszawy, a w roku 1872 przybył do Krakowa, gdzie kilka lat kształcił się w ówczesnej szkole malarskiej, pozostającej pod dyrekcją prof. Łuszczkiewicza. Potem wyjechał do Wiednia, gdzie studjował pod kierunkiem profesora Makarta. W Wiedniu się osiedlił i zdobył sobie tam znaczną sławę. W roku 1893 powołała go Rada szkolna krajowa na posadę profesora malarstwa dekoracyjnego w państwowej szkole przemysłowej we Lwowie, które to stanowisko do dziś zajmuje.

Liczba prac pochodzących z dwudziestopięcio-letniej działalności jest tak ogromną, że obecna wystawa obejmuje zaledwo dziesiątą część wszystkich.

Z większych jego obrazów zasługują na uwagę „Przygotowania do Zajazdu w zaścianku Dobrzyńskich“, „Wesele huculskie“, „Odsiecz Wiednia“, „Targ w Przemyślu“, „Powrót z miasta“, „Polowanie na dziki“, „Targ na konie pod Wawelem“, „Targ na Hofie w Wiedniu“, tudzież mnóstwo obrazów, myśliwski cykl 24 ilustracji do pamiętnika J. I. Kraszewskiego, które w Wiedniu wyszły pod tytułem: „Unterm Banner Sobieski“, wielkie akwarele do albumu wystawy etnograficznej w Tarnopolu w roku 1887, portrety historyczne itd. Oprócz wyżej wymienionych prac, bardzo wiele obrazów rodzajowych w miniaturowym formacie, których mnóstwo jeszcze w czasie pobytu w Wiedniu rozeszło się przez Kunsthändlerów do Niemiec, Francji, Ameryki i Anglji, a będziemy mieli obraz ćwierćwiekowej działalności Rybkowskiego na polu artystycznem i świadectwo żywe jego talentu i doświadczenia na polu różnych technik malarskich, które sobie przyswoił.

Największą jednak zasługą jubilata stanowią jego prace etnograficzno-artystyczne, odznaczające się drobiazgową wiernością w odtwarzaniu typów ludowych, pejsażyków charakterystycznych, budowli etc. Doskonałość jego w tym kierunkn była tak znaczną, że prace z tej dziedziny mają wartość dokumentów. Uznał to także Kolberg, powołując Tadeusza Rybkowskiego do ilustrowania swoich prac ludoznawczych.

To też i wśród dzieł wystawionych obecnie na jubileuszowej wystawie najlepszymi są te z rodzajowych obrazów, w których p. Rybkowski mógł się popisać tą właśnie cechą. Odrębności lokalne najwięcej go zajmowały, najsilniej je odczuwał, rozumiał i najlepiej odtwarzał. Najwięcej zaś interesowania budzą też jego jarmarki, zbiorowiska ludzi w święta, typy i t. d. W każdym z nich uwydatnione są doskonale i w ogólnym charakterze i w szczegółach cechy lokalne. Nieraz te obrazki przedstawiające setki ludzi zgromadzonych na jednem miejscu tak małe, że główki na nich mało co większe od łebków szpilkowych a jednak można je całkiem dobrze studjować nawet w szczegółach ubrania, w ruchach i tp. Zaiste trzeba bardzo ukochać swój przedmiot, aby nad nim módz tak drobiazgowo pracować. *S. W.*

*

Warszawski ruch artystyczny, wykazuje w ostatnich czasach znaczniejsze ożywienie i to, jak w ostatnim numerze „Prawdy“ w artykule p. t. „Losy sztuki“, konstatuje p. Antoni Grabiński, głównie dzięki p. F. Jasieńskiemu, który i w Warszawie swej artystycznej propagandy nie zaniedbuje. Urządził on świeżo w salonie Tow. Zachęty dwie wystawy: rembrandtowską (akwaforty i rysunki w świetnych reprodukcjach Lippmana — częściowo poprzednio we Lwowie wystawione) i polską, na którą składają się obrazy, studja i autoreprodukcje różnych współczesnych malarzy polskich. Tu zwraca uwagę niedawno przez p. J. za cenę 2000 rbs. zakupiony słynny „Szał“ Podkowińskiego i portret p. J. jego pędzla, dalej drugi wielki portret wystawcy pędzla Wyczółkowskiego, tegoż liczne studja i rzeźby (motyw do znanych „Sarkofagów“), dalej dzieła Chełmońskiego. Malczewskiego, Laszczki, Gierymskiego, Stanisławskiego, Krzyżanowskiego, Noskowskiego i nieznanych dotąd Warszawie młodych, jak Weiss, Czajkowski, Bukowski, Procajłowicz, Pstrokoński, Jabłczyński, Tichy. Ciekawy zwłaszcza jest szereg akwafort i autolitografji polskich. Równocześnie wystawione są jeszcze w Zachęcie prace Masłowskiego i pejzażystów Rapackiego i Popowskiego, zaś u Krywulta: dzieła Francuzów — Bourgeta, Milcendeau, Osterlinda i Aubertine'a, oraz młodego Polaka (z rodziny niegdyś belgijskiej pochodzącego) Flauma — kilka drobnych , a bardzo interesujących rzeźb symbolicznych, o których twórcę polemizuje właśnie p. Niewiadomski ze St. Przybyszewskim (Kurjer Warszawski). Te wystawy, oraz zbliżający się „Salon młodych“, zapowiedziana wystawa „turnusowa“ krakowska, wystawa rysunków i akwarel, ogłoszony konkurs malarski w Zachęcie i t. d. świadczą, pisze p. A. G. o znacznem ożywieniu się warszawskiego ruchu artystycznego w ostatnich czasach, stąd organ specjalnie sztuce poświęcony byłby tam dziś bardzo na czasie i miałby, zdaje się, wszelkie warunki utrzymania się i rozwijania. Możeby nad tem zastanowić się chciał... „Tygodnik illustrowany“. *A. C.*

NOTATKI. *Stroje włościańskie.* W „Przeglądzie tygodniowym“ (nr. 18) w artykule p. t. „Kostjumy włościańskie“ tłumaczy p. M. Wawrzeniecki zanikanie narodowego stroju włościańskiego dwoma przyczynami: materjalną, polegającą na różnicy ceny pomiędzy tandetą szablonową a materjałem ręcznym, oraz na większej od dawnego stroju włościańskiego praktyczności (?) tandetnego ubioru we wadze, kroju i kolorze — i moralną, polegającą w pierwszej linji na tem, że strój włościański dotychczasowy miał na celu zaznaczenie odrębności stanowej. Włościanin nasz, pisze p. W., miał wyrażone we wyszyciach swej sukmany (wie o tem etnografja) do jakiej wsi należy: czy do królewszczyzny, czy do klasztornej, czy do szlacheckiej. Uzyskawszy nareszcie wol-

ność, zrzuca on z czasem i strój dawny, chociaż piękny jednak różnicę stanową jaskrawo uwydatniający i będący symbolem niejako jego dawnego poddaństwa (?). „Można ubolewać z punktu estetycznego nad zanikiem pięknego kostjumu narodowego włościan — jednak widzieć w tem trzeba doniosły objaw społeczny, przeciw któremu walczyć w imię estetyki lub malowniczego dopełnienia krajobrazu, byłoby co najmniej śmiesznem“. Co najmniej śmiesznym, a w każdym nie nowym wcale jest wywód p. W. i spostrzeżenia w tym rodzaju n. p. jak skonstatowanie faktu, iż te zakątki kraju, do których skutkiem braku ułatwionej komunikacji — cywilizacji dotrzeć trudno, strój pierwotny zachowały dotąd — na równi z dawnymi zabobonami, ciemnotą, brakiem godności osobistej i świadomości praw!... Polemizować z p. W. nie będziemy. Już samo użycie wyrażenia „kostjum“, świadczy o zupełnem niezrozumieniu zarówno historycznej genezy jak i kulturalnego i artystycznego znaczenia stroju włościańskiego. Cywilizacja zaś już niewielu ludziom przedstawia się dzisiaj jako kosmopolityzacja i zacieranie wszelkich cech i odrębności narodowych. Konieczność częściowego modernizowania i ciągłego przystosowywania się warunków stroju rozumiemy dobrze — nie uważamy jej jednak za równoznaczną ze zupełnem zwycięstwem tandety współczesnej. Niech p. W., który komunałów nie lubi (?) przestudjuje sobie choćby tylko Ruskina i zaznajomi się z programem i dotychczasową działalnością po całych Niemczech dziś rozproszonych towarzystw dla pielęgnowania narodowych strojów włościańskich, a przekona się, że „ziemia obraca się“ ale niestety szybciej, niż sobie to często wyobrażają w Warszawie.

A. C.

*

W obronie... satyry. Nie z dawnem już, niestety, pogodnem *ridendo castigamores* na tarczy staje dziś w szrankach satyryk współczesny, horacjuszowski uśmiech znikł dawno z jego gorzko uśmiechniętej twarzy. Im piękniejszy bowiem i jaśniejszy ideał społeczeństwa wśród mroku i brudu dnia dzisiejszego duszy jego przyświeca, tem więcej bywa dziś piołunu w jego ustach, tem jaskrawszą staje się tworzona przez niego karykatura i tem głośniej rozbrzmiewa śmiech jego, ten śmiech, w którym czuć ironję gorzką człowieka, z góry przeświadczonego o tem, że „n a p r ó ż n o słowa wyrzuca namiętne, pełne łez, krwi i błyskawic świetnych — na serca, które zawsze dlań być muszą wstrętne“... Jakąkolwiekbądź definicją satyry kto sobie zbuduje, jednemu przecie nikt chyba nie zaprzeczy, że na dnie satyry istotnej leżeć zawsze muszą dwie rzeczy: gorące umiłowanie ideału, którego negacja jest właśnie teraźniejszość i bolesna dla tej teraźniejszości pogarda i nienawiść. Nie czci już dzisiaj urzędu ani wielbić może króla satyra współczesna, ale wszelkich ubocznych względów wyrzekać się musi koniecznie. Ma ona karcić człowieka, ale nie wolno jej wywlekać znanych czy nieznanych spraw prywatnych panów X czy Y, zadaniem jej dobywać na światło dzienne zło wogóle, a nie poszczególny skandal, pragnąć ona ma nie sensacji, ale sanacji — inaczej nie satyrą będzie ale zwykłym poprostu paszkwilem.

Dzisiejsze nasze społeczeństwo, galicyjskie zwłaszcza, wprost gwałtownie doprasza się satyryka. Kraków, właściwie biurokratyczna burżuazja krakowska — ta sama, która przed 25 laty na obraz i podobieństwo swoje, niestety, stworzyła sobie Bałuckiego — ma dziś Nowaczyńskiego „anarchistę z temperamentu artystycznego“, który kiedyś, jeżeli pogłębi się i spoważnieje z m o d e r n kawiarnianego, bajecznie dowcipnego i złośliwego sowizdrzała, jakim jest jeszcze przeważnie w swem „małpiem zwierciadle“ przedzierzgnąć się jeszcze może w prawdziwego satyryka. Lwów atoli, stolica kraju analfabetów, która sama jedna wykarmić by chyba zdołała całą redakcję „Simplicissimusa“, napróżno dotąd czeka na tego, który by był godny w spuściźnie po Lamie objąć kaduceus satyry galicyjskiej. Czekamy więc na satyryka a tymczasem — tymczasem zadowalamy się paszkwilem i do tego anonimowym. Skandal płodzi skandal, jest sensacja, „listy z nad Pełtwi“ niewiadomego autora czy autorki rozchwytywane poprostu krążą z rąk do rąk, podobnoś kilku z niewinnie posądzonych nosi się już ze zupełnie poważnymi zamiarami samobójczymi, opowiadają o ekspiacyjnem nabożeństwie, a redakcja „Przeglądu Tygodniowego“ wydać zamierza niebawem „listy“ w osobnej odbitce. Codzień pojawiają się protesty, odwołania, słychać o kilku pojedynkach, wszystkie na okropnie śmiertelnych warunkach, mnóstwo ludzi cierpi na bezsenność, popłoch padł między przyjaciółki hrabin, pokojówki hrabin i hrabskie lokaje, płacz i zgrzytanie zębów.

Prawda, nieprawda — mniejsza o to, chodzi o to tylko, że paszkwil zawsze pozostanie paszkwilem, a na paszkwil jedyną odpowiedzią — pogarda. Satyra wywołać może zbawczy ferment w umysłach, paszkwil wywołuje tylko skandal i niesmak. Pismo, które go zamieszcza spada tem samem do rzędu wiedeńskiej „Fackel“ p. Krauza. — A zresztą? „Miarą najwyższej kultury danego społeczeństwa — są jego satyry“. T. zw. towarzystwu lwowskiemu powinszować można autora „listów z nad Pełtwi“, krwi z krwi i kości z kości jego! Ale może tutaj, jak w tylu podobnych wypadkach zastosować jedynie można słowa autora „Baśni o Krakowie“, że „po wiek wieków satyrycy z własnej swej duszy, jak z tablicy, brud spisywali potomności“. Kto wie, może. Chociaż, o ile wiadomo historykom literatury, nawet wojewoda Opaliński paszkwilów podobnoś nie pisywał.

A. C.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8